

PIOTR GORAJ

Ale kino!

Wszedłem, zamontowałem wszystko jak trzeba, no i ruszyło. Miałem dosyć mgliste pojęcie na temat tego rodzaju zabawy, ale zdaje się, że oczekiwałem niezłego czadu na samym wstępie. Nic bardziej błędnego. Zanim całkiem zapomniałem, gdzie jestem, zastanawiałem się przez chwilę, czy coś przypadkiem nie nawaliło. Nie, nie wiem, od czego się zaczęło. Przejście było raczej płynne, rozmyte. Po prostu siedziałem sobie i zacząłem trochę rozmyślać. O byle czym. Ale tak jakby coraz mocniej.

Myślałem o ludziach i nieludziach. Ścisłej mówiąc, myślałem o Chudej, tyle że globalnie.

Chuda od dziecka prana była w wybielaczu myślenia konsumpcyjnego. Iloraz inteligencji na tym nie ucierpiał, ale jej zasobnik emocjonalny został tak dokumentnie wyjałowiony, że pozostał z niej sterylny, wykrochmalony kawał prześcieradła.

Przypominała kota. W odróżnieniu od psa. Pies kocha swojego pana za darmo i to niezależnie od tego, czy pan napęłni mu miche, czy wykopie za drzwi. Kot jest twoim kumplem, dopóki go drapiesz za uchem: kiedy przestaje być rozkosznie, wypina się na ciebie i rusza na spacer własnymi drogami. Kot ma wszystko w dupie. Emocje zostawia frajerom: psom. Kiedy pan wraca do domu, pies dostaje nagłej gorączki z radości, ślini się, sika po nogach. Kot patrzy na frajera z politowaniem. Ogólnie podchodzi do tego wszystkiego beznamiętnie. Przerost luzu. Na pieszczoty się zgadza, o ile nie ma akurat własnych spraw do załatwienia. Niespecjalnie interesuje się, kto go drapie za uchem; ważny jest sam akt drapania, zdepersonalizowany akt robienia dobrze kotu. Dla kota świat dzieli się na zjawiska, które robią mu dobrze i te, które robią mu źle albo nie robią mu nijak. Zjawiska, które reprezentują pierwszą kategorię, mają zaszczyt wzbudzić leniwe zainteresowanie kota. Resztę się kasuje.

Jej kocie istnienie widoczne było w każdym jej geście. Potrafiła dawać fałszywe poczucie ciepła, zwijając się kocio w rogu kanapy, wklejając się w ciebie całą swoją kocią istotą. Wzorem perskiego cwaniaka potrafiła sprawić, że wierzyłeś bezgranicznie w swoją wyłączność. Gdyby miała wąsy, umiałyby nimi poruszać.

Uwielbiała psy. A zwłaszcza największe mięczaki i najcięższych frajerów.

– Wyobraź sobie, że yorkshire terier może dostać zawału, jak stłuczysz koło niego szklanek – kroїła swoje wywody jak tort lodowy, oddzielając zdania długimi rzesami. – Śliczne, słodkie maleństwo, szczeniak mieści się w dłoni – mruzczała, serwując lodowatą słodycz w zgrabnych plasterkach. U jej stóp czołgała się sparszywiata rasa podległa, która dostaje zawału od stłuczonej szklanki. Koty über alles. Koty w butach Martensa i spodniach moro i ich maskotki mięczaki. Dopóki maskotka nie wkurwi pana.

– Nie chciałybyś mieć dziecka? Drażnienie wielkiego kota.

– Och, przestań.

Sprzeczne interesy dwojga mafii. Ty, Vittorio, możesz sobie kosić szmal ze swoich lokali, ale jak przyjdzie wielki zły Benito, będziesz musiał oddawać mu siedemdziesiąt procent swojej kapuchy. Wiedziała, że małe bebe też jest z mafii. Chodzi własnymi drogami, ma innych w dupie i ciągle czegoś chce. Dwa koty w jedno miejsce to za wiele. Braknie frajerów do podziału.

– Mój kumpel Linda chciał kiedyś zrobić biznes na nalepkach – powiedziałem. – Chciał nadrukować serduszek na wzór tych, które sprzedaje Orkiestra Świątecznej Pomocy, ale nie czerwonych, tylko czarnych. Z napisem: „Nie bądź frajerem”.

Teraz walnie jakąś bzdurę.

Nie walnęła. Brak odzewu. Strzał przeszedł obok i wyrwał dziurę w płocie. W tym czasie płot był już w stanie dosyć opłakanym. Sterczało tylko parę smętnych kikutów. Gdyby to były malowane wrota, a nie płot, mógłbym się w nie wpatrywać jak ciele. Zamiast tego wpatrywałem się jak ciele w kota, który w istocie był wymalowany obficie, a wrota gotowe nie tylko do tego, żeby się w nie wpatrywać.

Ubolewałem, że nie jestem kotem, nie bo miałem przed sobą nic innego, jak zjawisko pierwszej kategorii.

Późnym wieczorem zasiadłem przy piwie z Brzęcącym Jasiem i zasłaniając się dymem z papierosa, myślałem o laserowych ludziach, technonacji, która wyprodukowała takie cyborgi jak kobieta kot, o ludziach węzach i ludziach kameleonach, o migotliwym świetle bez zastanowienia i mętnych

wątpliwości i nie wiedziałem już, kto tu jest mutantem, czy ja, czy cała reszta, i czy to ja zdarzyłem się ni w pięć, ni w dziewięć pośrodku stada neandertali czy stado neandertali zdarzyło się wokół mnie.

Jasio brzęczał niezawodnie.

– Może i myślisz, że jestem lump – rzucił. – Właśnie dlatego powinienes mi znowu postawić. Każdy musi mieć kogoś, kogo uważa za szmatę. Twoje wielkie ja musi się czasem przejrzeć w brudnej kałuży. Po to tu przychodzisz i stawiasz mi kolejki. A w ogóle...

Dym niestrudzenie budował w ciężkim powietrzu zawile arabeski. Wyginał je, wykoślawiał, defasonował. Wykrzywić się jeszcze bardziej, wynaturzyć jak przejrzały kartofel. Być jeszcze bardziej nie na miejscu. W złym czasie i w złej przestrzeni.

– Co ty, stary, robisz w takim chamowatym kuflocie – bzyknął pytaniem retorycznym i zaraz się wyszczerzył, co miało wyglądać chytrze. – Ja ci powiem, co. Tutaj przestajesz myśleć, że nawaliłeś. Bo tu są same śmieci. Wydaje ci się, że z siebie wcale nie taki śmieć.

– Zamów jeszcze po jednym. – Odstawiłem pusty kufel: łup, brzdęk! Jasio obnażył garnitur brązowych pieńków, zsunął się ze stołka i pozęglował, krępy lump, gładko przemierzając labirynt stolików w kierunku najjaśniejszego miejsca na świecie: baru. Myster Bogdan zwiesił dolną wargę i zaokrąglił ślepią, gotowy całą swoją istotą przyjąć zamówienie. Wielka, włochata brodawa na lewej flance żuchwy też jakby zastygła w oczekiwaniu.

Sąsiad przy stoliku obok też był niezły. Nie wiadomo dlaczego patrzył w swoje piwo z niebotyczną rozpaczą. Chrapy rozdęte, na czole rozpacz wyżłobiła cztery grube bruzdy. Może też myślał. Było w nim coś z mądrego basseta. „Co ty, stary, robisz w takim chamowatym kuflocie”. Oglądam mikrokosmos. Dno jest piękne, bo żywe. Tam, gdzie ci się wydaje, że byłbym na miejscu, nie ma czego oglądać. Jak w sklepie meblowym. Stoją eksponaty, martwe. Nakręcone, to jadą.

Jasio przybywał zwieńczony dwoma kufkami, halsując wdzięcznie swoim tłustym zadem.

– Widziałem brudną wersję Panta Reia. – Palec wskazujący Jasia wyłowił z gęstwy meneli właściwy obiekt. Tłuszcioch w białej niegdyś podkoszulce, zmięte fałdy buldożego pyska spoczywające zmęczone w wielkiej łapie, łokieć wsparty ciężko na zaświnionym blacie. Tak wyglądałby przysły małżonk mojej kuzynki, gdyby się stoczył. Niestety, nie zostawił cienia nadziei. Gość robił w branży mięsnej i kochał to. Kupa słoniny. Kiedy się poruszał, jego podskórne zasoby przemieszczały się, przelewały. Nazywałem go Panta Rei: Wszystko Pływa.

Zeszmazona wersja Panta Reia leniwie przekazywała kompanom perełki wiedzy marynistycznej.

– No powiedz, Roman. Jez łóć podwodna?

Roman zaczął grzebać kołkami paluchów w zmiętej paczce fajek. Nie chciał się wygłupić.

– Ty, Marian, no jez łóć podwodna czy nie?

– Jes.

Niezbyt pewnie. Właśnie o taką odpowiedź chodziło.

– A gwno – sprostował z wdziękiem Panta Rei, połykając kluczowe samogłoski w rasowym pijackim stylu. – Łóć to jez, jak pływa po wierzchu. Pdwodny to jez okrent, baranie.

Oryginalny Panta Rei był wzorowym amerykańskim troglodytą. Robił z mięsa pieniądze, a pusty kubek swojej duszy zapychał żarciem. Ładował do gardzieli, ile wlaźło, odpalał silniki i ruszał na spotkanie mięsa, żeby zamienić je w jak największą górę szmalu. Pustkę wypełniał też masą innych towarów, których nie dało się zjeść. Był wytrawnym kupującym, uwielbiał mieć nowe ładne rzeczy i pokazywać je tym, którzy takich rzeczy nie mają. Ograniczony aż do bólu, w handlu nie miał sobie równych. W rzeczywistości troglodytów, zamerykanizowanej i wycenionej na wszystkie strony, poruszał się tak zgrabnie i szybko jak troglodyta po skałach. Wyrobił sobie pełny asortyment sztucznych zachowań. Na każdą okazję miał coś na miejscu, wypchany worek komunałów w postaci gestów, komentarzy, zagajeń i innych potrzebnych rzeczy. Nigdy w życiu nie zachował się niewłaściwie.

– To jego astral tu siedzi – Jasio podjął nowy temat. – Jak załatwi żonę i walnie wreszcie w kimono, jego astral wychodzi, żeby się wytarzać w brudzie. On sam nie wie, czego tak naprawdę chce. Jego astral załatwia te potrzeby po nocy w knajpach. Gość ma naturę wieprza i musi się od czasu do czasu zwieprzyć.

Oj, zamęcza, jak może.

– Każdy tego potrzebuje – zawyrokował. – Ale mało kto o tym wie. Ludzie byliby szczęśliwi, gdyby raz na parę dni wleźli po szyję w gówno. To by ich odświeżyło.

– Ty nie wyglądasz najświeżej – powiedziałem.

– Psychicznie, stary, psychicznie. Moja dusza jest świeża jak wiosenny szczypior. Upodlenie to jest podstawa dobrego samopoczucia. Trzeba spaść na dno, żeby było się od czego odbić.

Mój kumpel Linda wymyślił kiedyś biznes z komercyjnym numerem telefonu. Ogłoszenie w gazecie miało informować, że pod tym numerem można zostać zwyzywanym. Po wykręceniu numeru odzywałoby się rutynowe: „Po co tu zadzwoniłeś, cymbale?”, a ciąg dalszy zależałby od wymagań klienta. Linda dopuszczał założenie kilku numerów, od wersji łagodnej przez standardową aż do ekstremalnej i hardcore. Był przekonany, że „brudtelefon” zarobi krocie.

Zgrzytnęło z lewej: astral Panta Reia dźwignął się, żeby wyjść do kibla. Wielkie gacie zwisały z niego, jakby były pełne. Coś jednak mają wspólnego, ten i oryginał. Lubią mieć autorytet. Najważniejszy przy stole: tylko on wie, czy jest łódź podwodna. Dobrze wywlec ignorancję innych na światło dzienne. Pokazać, kto tu jest cwany. Jedna z podstawowych zasad zdrowej amerykańskiej społeczności: pomóc frajerom znaleźć swoje miejsce. Kiedy już zapoznają się z układem sił, można się wyluzować i pozwolić sobie na pewną dozę pobłażliwości.

Baryła zatrzymała się w pół kroku. Półobrót, wielka morda klapnęła.

– Weź mi jeszcze sete, Roman.

Wszędzie to dociera. American Dream. Pokaż się. You can do it. Amerykański troglodyta siedzi na sedesie i wytwarza masowo sakramenty nowoczesnego świata. Rura doprowadzona do muszli zasysa produkty, a podciśnienie ciska je w kierunku wylotu, gdzie tłoczą się spragnione karmy umysły i łykają, ile wlezie. Nasycone uśmiechają się błogo, mówią: „That was colo” i przybijają piątkę z sąsiadem, który też swoje przełknął. Przeważnie najłatwiej łykają rozmaite wrzody pop kultury. Ostatnio łyknęli program telewizyjny, który polega na robieniu sobie jaj z poczciwości, najlepiej z poczciwości osadzonej w niezbyt bystrym mózgu. Program nazywa się: „Przygody Leona”. Rzeczoną Leon filmuje ukrytą kamerą swoje wybrane z tłumu ofiary. Szczególne upodobanie ma Leon do niezbyt bystrych babinek i dziadków. Pokazuje ich na szklanym ekranie, a troglodyci w baseballówkach na swoich pustych łbach kwiczą ze śmiechu, bo babinki nie są takie cwane jak Leon i niespecjalnie sobie z nim radzą. Przykład: babinka przyskrzyniona przez Leona dostaje pod chwilową pieczę jajka rzekomo prosto z inkubatora; lada chwila wyklują się kurczątki, ale trzeba jeszcze trochę na nie pochuchać, żeby dojrzały, bo inaczej kurczątki się wykończą. Babinka przejęta rolą chucha na jajka, a pół Polski rechocze z uciechy. Dostali wreszcie godziwą rozrywkę na poziomie. Brakuje jednak puenty: Leon nie zadbał o postawienie kropki nad „idiotyżmem”. Mógł przynajmniej na koniec rozbić babince jajka na głębie, a byłoby zupełnie ekstra, gdyby przy tym opadły jej gacie. To by był dopiero ubaw po pachy! That would be cool! Poczciwe babinki można też wykorzystać w Live show wzorem dawnych teatrów ulicznych, które pokazywały gawiedzi wybryki natury. Można wozić je po rynkach większych miast i za pomocą inteligentnych dowcipów pokazywać, jakie to one tępe, że boki zrywać ze śmiechu. Ostatecznie człowiek musi się czasem zabawić, nie tylko praca i obowiązki. I chętnie zapłaci za godziwą rozrywkę.

A gdyby tak oddział poczciwych babinek dorwał Leona, przywiązał mu do zadka wiadro z głodnym szczurem w środku, obciął nos, poszerzył uśmiech, a na koniec wyrwał kręgosłup? I nakręcić to wszystko z ukrytej kamery!

Drzwi baru, pchnięte brutalnie od zewnątrz, wyrysowały nagle półkole na zapapraną podłogę i trzaskprasnęły w zapapraną ścianę. Pośrodku czarnego prostokąta nocy stanął zapapraną Leon w zarzyganym prochowcu.

Musiąłem w tej chwili wyglądać niewymownie głupkowato, bo ustało brzęczenie.

– A tobie co? – zatroszczył się Jasio.

– Ty... – zacząłem. – Jest tu jeden facet z telewizji...

Jasio siedział tyłem do drzwi. Odwrócił się, obejrzał Leona beznamiętnie, zajął się znów swoim piwem.

– Z regionalki ten gość?

– Nie. Z TVP.

Harde spojrzenie Leona wymiękło, kiedy napotkało emanującą niesmakami minę Myster Bogdana, zgarbionego nad barem jak zmęczony marabut. Muszę przyznać, że niesmak na twarzy Myster Bogdana wyglądał przepotwornie.

Leon przeobrażał się pod ciężarem wzroku zza baru. Oczy Leona nabrały wyrazu służalczości, pokornej prośby, prawie modlitwy. Jednym słowem: spsiły się. Leon spozierał na Myster Bogdana wzrokiem zbitego spaniela.

– Ile ci tam wiszę?

– Czterysta sześćdziesiąt osiem tysięcy pięćset. – Każde słowo strudzonego marabuta zdawało się wbijać Leona głębiej w zasmarowaną podłogę.

– Dopisz jeszcze ćwiare – zaproponował.

Zbyt zmordowany, żeby odmówić. Przyglądałem się Leonowi, który trzęsącymi się grabami chwycił swoją ćwiare, i pieściłem swoje przyjemne zdziwienie. Taki Leon z Warszawy żebrze o flachę. No, no,

kto by pomyślał... Taki niby idealny model mutanta cywilizacji. Idealny małpolud, postawił totem z banana przed swoim tipi, a jego małe każdego dnia oddają mu hołd. Swoją rozsądek przyprawił zasadami. Umieblał sobie mózg w nowoczesnym stylu, wsiadł do windy i powoli, bez wysiłku jedzie do góry. Aż tu nagle coś zazgrzytało. Gdzieś pod czaszką zrobiło się zwarcie i umysł zakwitł nowotworami wątpienia. Wylazły wściekle pajacyki potrzeb dotąd nie znanych. Jasio brzęczał coś o homoseksualizmie.

– ...bo ci się podoba? Gościa z telewizji nie widziałeś?

– To takie normalne, że facet z drugiego końca Polski pojawia się w środku nocy w najbrzydszej spelunie najbrzydszego miasta i bierze wódkę na kredyt. I do tego barman go zna? Jak zły szeląg?

Jasio rozwiązał problem.

– Może przyjechał do babci – zasugerował.

Drzwi od kibla spotworniały wielgachną górą sadła. Lodołamacz brzuchola rozgarnął ciężkie powietrze: Panta Rei dotarł, uuuch-usiadł. Chwilę przyglądałem się neseserowi, który stał oparty o jego krzesło. Ten sam. Zapluty, niechlujny, posmolony. Ale ten sam. Neseser z nalepką: „Wtirste GmbH”, niezaprzeczalna własność narzeczonego mojej kuzynki.

Teraz popatrzyłem wyżej. Gęba. Jak mogłem od razu nie poznać tej mordy? Zmyliło mnie, bo też zgnojona była owa morda niewymownie. Poznał mnie. (Dopiero teraz?)

– Sie mano – zagulgotało mu w tchawicy. – Pjemy, nii-je? Bo stygnie! No to bach. Oby jak najdłużej rosły drzewa, z których zrobią nasze trumny! – zagał toastem i wlał w czelusz połowę swojej setki.

– Ty s kim pijesz? – zeźlił się Roman. – Znmi pijesz czy znim, e?

O dziwo, buldogowaty pysk spokorniał. Fałdy pyska, ściągnięte w dół mocą wypowiedzi Romana, zwisały jak flak z kaszanki, uszy dostały stulenia ostrego, karczycho zjechało w dół.

Chciałbym to pokazać Chudej. Jej pogarda dla emocji.

Że niby większość facetów bierze wszystko na zimno i nigdy nie ma wątpiwości. Że uczucia dotyczą raczej yorkshire terierów, a te nadają się tylko na maskotkę. Jej szacunek dla cyborgów. Bardzo proszę, mamy tu jednego cyborga, który podobno zajmuje się wyczarowywaniem ciężarówek szmalu z furgonetek miecha, ma zawsze nieskazitelny gangol, białe zęby, pachnie świeżością i jest elegancki, mimo że jest obrzydliwie tłusty. Mamy tu oto takiego cyborga. Przedstawiciel rasy doskonałej. Znieczulony. Siedzi w mięsie, nic go nie rusza. Beznamiętnie robi biznes. Nigdy żadnych wątpiwości. Jest też niezły w przekonywaniu siebie i innych o słuszności swojego istnienia. Istnienie cyborga, powie, dowodzi słuszności istnienia cyborga. Odmaluje przed tobą wielką panoramę odruchów zainstalowanych w cyborgu i udowodni na przykładach, jak bardzo są one potrzebne. W poetyckich słowach odda paschalną radość zakupu kuchenki mikrofalowej. Albo płukarki do sałaty. Wypruje z siebie flaki, żeby zagadać pustkę. W jego domu z sufitów zwisają lepy na muchy niewiary i bezsensu. Zdaniem Chudej, jestem jednym z niewielu, którym te muchy łążą we włosach i regularnie składają jaja. Prawda, łążą mi. I jaja też składają. Co gorsza, zwykła packa nie poradzi sobie z nimi, bo to są wielkie zielone muchy, które przybyły wielkimi gromadami, przyjechały wozami zaprzężonymi w konie, aby się osiedlić, zbudowały rancza, wyhodowały stada bydła, postawiły drapacze chmur. Robią teraz wielki biznes, rozwijają się: rozłają się po klatce piersiowej, otwierają przedstawicielstwa i agencje. Zwykła packa sobie z nimi nie poradzi.

Teraz przyjrzyj się idealnemu cyborgowi. Zrobi ci się niedobrze, kiedy zobaczysz, ile much bezsensu roi się w jego przeredzonych włosach.

– Wszystko chuj – ogłosił Panta Rei, z którego nagle opadła euforia.

– Naprawdę mi się tu podoba – poinformowałem Jasia. Błysk w oku: manna z nieba. Facet przy nadziei.

– Jeszcze po jednym?

– Na luzie. – Włożyłem pieniądze w jego łaknącą dłoń.

Odplynał w jasność. Skurczony Leon przy barze odsunął się z szacunkiem, przykurczył jeszcze bardziej. Kiedy Jasio zażądał dwóch kufli i wyprostował się przy tym, czując się poniekąd panem świata, Leon ostrożnie obwąchał jego spodnie.

– A, ty zarazo, paszoł won – zirytował się Myster Bogdan podciągając do góry zwisającą dolną wargę (wyrzałało to złość). Leon skulił się tak bardzo, jak to tylko było możliwe, wzrokiem i postawą dając do zrozumienia, że wie, kto tu jest panem i że jego, Leona, wcale tu nie ma. Nieśmiało zamoczył pysk w szklance, pragnąc, by o nim zapomniano. Chciał być tak bardzo nieważny, że zrobił się prawie przezroczysty. Jego uszy spełniały funkcję małych radarów rejestrujących sygnały niebezpieczeństwa: sterczały, odsłaniając w ten sposób czujne wnętrza małżowiny.

– Leon się zaciera – zauważyłem.

– W tej chwili nienawidzi swojej tożsamości. Jego tożsamość ma długi. Chciałby się jej pozbyć. Najlepiej byłoby mieć kilka tożsamości na wymianę. Na przykład...

Zaczął brzęczeć. Wyłączyłem fonię. Nietypowe dla Leona: chceć się wygumować. Amerykański troglodyta ma zwyczaj szpanować swoją osobowością, chociaż jej nie ma. Obnosi się ze swoją rzekomą indywidualnością. Lubi pokazać, że jest jedynym egzemplarzem. Mój kumpel Linda planował kiedyś zrobić biznes na zamiłowaniu do indywidualności. Chciał sprzedawać T-shirty oznaczone kolejnymi, nie powtarzającymi się numerami. Do każdego T-shirta dołączona byłaby na tasie niewielka książeczka, która informowałaby posiadacza, że jest właścicielem koszulki o takim a takim numerze, której nikt inny nie ma, i dzięki temu od tej pory nie jest już zwykłym człowiekiem.

– No choś tu do nas! – huknął nagle Roman jak z kałacha, machając pokrzywionym łapskiem do postaci mającej w drzwiach knajpy. Wielce niestabilna postać podjęła ryzyko uczynienia kilku kroków. W ten sposób wychynęła nieco z ciemności. Była to niewątpliwie postać kobieca, lecz niezbyt zadbana: tak, jakby ktoś dopiero co zwymiotował ją do muszli.

Panta Rei uśmiechnął się koszmarnie.

– Kamon ewrybady! – zachęcił niestabilne indywiduum. Brutalnie przerwałem brzęczenie Jasia.

– Zaraz urodzę małego Buddę – ostrzegłem go. Wytrzeszczyłem oczy. Zglupiałem kompleksowo.

Chwiała się nad stołem Panta Reia, Romana i Mariana; ciężkie powieki raz po raz odsłaniały zbieżnego zeza, struzka śliny z lewego kącika. Nabrzmiały pryszcz pod nosem świetnie komponował się z brudnym, krwawym plastrem umiejscowionym po skosie w dolnych partiach brody. Napis na zaplamionym T-shircie oznajmiał: „Nobody can force me to have sex”.

– Chuda przyszła.

– E? – Tym razem Jasio zbaraniał. – Beee – rzekł. – Y-y? – dodał mało konkretnie.

Pijana Chuda zawisła na pijanym ramieniu Romana.

– Lubiżmje troche? – zagadnęła nieśmiało.

– Roman, dej papierocha – zbulgotał przepastny gardziel Panta Reia, znów pełnego entuzjazmu i chęci do zabawy. Ciekawe: ani cienia nakazu w tym bulgocie, raczej szacunek. Zazdrosny o powodzenie u płci p...

Jakby nagle zmienił się układ sił.

– Fajkę chcesz? – Nieoczekiwanie na gębie Romana zakwitły czarne kwiaty złościwości. Wyszczrzył swojego jedynego zęba urągliwie. Brwi spotkały się tuż nad świńskimi oczkami. Szyderczo. Jadownicie.

– Służyć – wycedził zjadliwie. Jak zjadliwie!

– Roman... – zaczął Panta Rei, wyłamując sobie spocone paluchy.

– Służyć – zażądał Roman nieugięcie. – Siad!

Grrruuuchnął na kolana, łapska wyciągnięte wierzchem dłoni w górę, przepisowo. Posadził swój ciężki zad, ten spasiony buldog, fałdy skóry zwisały pokornie z masywnego pyska. Spod zadu powoli rozpełzła się po podłodze niewielka kałuża. Ze strachu.

– Dej łape! – wrzasnął Roman złym głosem, ciskając z oczu błyskawice. – Nie te! Drugie! Nie te, ty ścierwo! Drugie łape dej mi tu zara!

Fffuch!... Kopniak poturlał wielkie, tłuste psisko pod ścianę.

– Do nogi, bydlaku! Szczekaj!

Zadudniło.

– Na pana szczekasz, ścierwo? Na pana?!

Łłup! Znów czołgał się od ściany, szmata z psa. Roman w amoku popisywania się przed płcią p... cisnął w zwierzę brzemienym litrowym kuflem. Celnie! Buldog ze strzaskaną zadnią łapą wyskomlał przeraźliwie swój ból, wtaczając się pod stół.

Jasio od dłuższego czasu siedział otepiały. Zombi.

– I-dę do klo-pa – powiedział zombi. Wstał sztywno. Mówienie i działanie wykonywał małymi porcjami. Noc żywych trupów. Kilka szczudłokroków. Kilka szczudłokroków. Kilka szczudłokroków. Drzwi do ustępu. Mijając bar, nawet nie zauważył, że Myster Bogdan karmi wynędzniałego spaniela.

– A żryj, ścierwo – mruczał Bogdan. – I tak już jesteś padlina.

Leon smakowicie połykał resztki z obiadu, starając się okazać akurat tyle wdzięczności, ile trzeba: żeby podziękować, ale nie być nachalnym. Miotła z pozlepianych kudłów pracownice szurszurła po podłodze. Jęzor starannie zbierał wszystko z owrzodziałego pyska.

Chuda na kolanach rozbisurmanionego Romana lizała go po twarzy. Jej piękne rysy były jakies wessane, jakby same siebie konsumowały; twarz nabrała wyrazu wystraszonej mumii, groteskowo przyzdobionej brudną czerwoną kokardą na czubku czerepu. Chuda była nie tylko chuda, była mała,

skurczona, miniaturowa. Nerwowo pracowała jęzorkiem. Romana niespecjalnie to pochłaniało. Bardziej interesował go rozwalony pod sąsiednim stołem basset.

Basset wiedział. Nie robił nic. Był pogodzony z losem. Z jego przekrwionych oczu wyglądała cała prawda o świecie. Jego pokrzywione łapy były kwintesencją istnienia. Jego nadwreżony kręgosłup dawał do zrozumienia. Jego smętnie obwisły pysk sugerował. Tuż przed jego melancholijnym nosem leżał strzaskany kufel. Basset patrzył na te szczątki z niebotyczną rozpaczą. Na jego plastycznym czole rozpacz wyłobila cztery głębokie bruzdy. Był tym, czym był, i coś tak banalnego, jak kopniaki menela nie mogły ani znieść, ani pogłębić rozpaczki basseta. Był tego świadom i dlatego się nie ruszał, chociaż wiedział.

– Pimpek – chrypnął Roman. – Dnogi!

Wiedział.

– Choźno do pana.

Bardzo zły na psy. Znał to uczucie. Nienawidził siebie czującego się w ten sposób. Dobrze być po drugiej stronie. Poczuj to jeszcze raz.

– Ty kunlu, jak si kwa przypie...

Uch! But w żebra, aż jęknęło; basset na buldogu. Pazury Chudej kurczowo, panicznie wczepione w ciskającego się Romana. Chyba zapomniał, że siedziała mu na podołku. Taki mały pies kanapowy: prawie nic nie waży. Mniejszy od poduszczeni, ten yorkshire terier. Najprawdziwsza nędza, słabizna. Parszywa rasa.

Ten kynologiczny klimat wszechogarniający knajpę zainspirował mnie. Morderczy zamysł czał się gdzieś w alkwie mojego umysłu; teraz wychynał na moment. Przez chwilę zawisło w powietrzu widmo jego obrzydliwego oblicza.

– Kamon ewrybady – zachęciłem go, żeby wylazł i pokazał się w pełnej krasie. Wystawił najpierw jedną parszywą nogę i... hop!, zaprezentował pełnię swojego obrzydlistwa. Był fascynujący, ten mój zamysł.

Gwizdnąłem. Chuda zdążyła już odpaść od uświnionego kubraczka Romana, który metodycznie przyklepał kopniaki dwóm skamlącym psom, i teraz kręciła się w kółko oszołomiona upadkiem. Mój gwizd osadził ją w miejscu i postawił strzępiaste uszy yorkshire teriera na sztorc.

– Chodź, piesku, chodź – powiedziałem łagodnie. Podbiegła natychmiast, rozmerdana. Patrzyła mi w oczy. Powoli uniosłem prawie pełen kufel na wysokość półtora metra. Wtedy zobaczyłem w jej oczach cień zrozumienia. Potem przerażenia. To był właściwy moment: ułamek sekundy i czmychnęłaby na bezpieczną odległość kilku metrów. I w tej ulotnej chwili udało mi się uchwycić w tych tak dobrze mi znanych zimnych oczach przeblask człowieczeństwa.

Trrrach!!! Kufel trzasnął o podłogę tuż przed nosem Chudej! Wysztywniło ją, skreśliło. Oczy wylazły z orbit. Padła zwinięta nienaturalnie: zawał.

Przyglądałem się jej nieruchomo, ręka wciąż uniesiona na wysokość półtora metra. Nie, żeby poruszył mnie widok Chudej, która była teraz Sztynna. Nie to. Nie ruszałem się, bo właśnie doświadczałem zupełnie niesamowitego uczucia. Moja krew niosła ze sobą rozpełzającą się po całym ciele przyjemność; czułem, jak wszystko we mnie mięknie, rozluźnia się. Nerwowość, napięcia – wszystko się jakby uspokajało. Tamy puściły, strumień swobodnie płynącej krwi zmiatał pomniejsze blokady. Miałem wrażenie, że cały mój organizm zaczyna funkcjonować płynnie, gładko, bez sztucznie budowanych zapór i przeszkód. Czułem mrowienie w końcach palców. Wszechogarniającą błogość. Miętkość. Fizycznie i psychicznie czułem się zdecydowanie kocio.

Wnętrze knajpy powoli stało się nieostre. Postacie zamazywały się, stawały się brudnokolorowymi plamami przelewającymi się z kąta w kąt, łączyły się, dzieliły, pączkowały, rozbryzgiwały, skakały do oczu, konsumowały się wzajemnie, kopulowały, rodziły nowe, coraz bledsze twory. Rzeczywistość przede mną wyraźnie dążyła do integracji, do plazmatycznego połączenia bezbarwnej, bezkształtnej jedności. Szarzała, przestawała istnieć. Teraz otaczała mnie niematerialna szarość, zmysły reagowały leniwie; bardziej czułem niż widziałem tę bezbarwność, w której tkwiłem zanurzony, spokojny.

•

Najwspanialsze było właśnie to uczucie beczasowości i suspensu. Nie chciałem opuszczać tego limbo, pragnąłem tkwić w tej zawieszynie na wieki i nie zdawać sobie sprawy z eonów przebiegających obok wariackim galopem. Dla mnie największa atrakcja kina wirtualnego to właśnie to końcowe katharsis. A najbardziej boli, kiedy seans się kończy i twój oniryczny świat wypluwa cię w rzeczywistość, nie pytając

o zdanie; wtedy z brzucha lepszego świata wyłazi wbrew własnej woli kulawa pokraka, upośledzona wersja istoty, która po drugiej stronie umiała robić zupełnie niesamowite rzeczy.

Rzeczywistość zaczęła obmacywać mnie swoimi beczczelnymi paluchami. Najpierw głowa: półświadome mlaśnięcie dało mi jakie takie pojęcie o zatęchłym universum wnętrza mojej gęby, zamkniętej przez parę godzin. Nos co nieco zapchany. Grudki ropy w kącikach oczu. Lewy kulas zeszywniały, prawa ręka nie moja: ścierpła.

Zdjąłem kask, gogle i rękawice. Wokół pulpity, przy nich amatorzy wirtualnych odjazdów. Zabawa na całego. Rzeczywistość budowana wokół ciebie na bazie kompleksowej analizy twoich najgłębiej skrywanych marzeń, fobii i apetytów. Fajnie było też popatrzeć na tych ludzi. Facet na lewo, jeszcze w kasku, chyba właśnie przeżywał swoją prywatną ekstazę: szczęki zaciśnięte, podrygujące mięśnie twarzy, palce wybijały na pulpicie mocno synkopowane rytmy. Kobieta w średnim wieku, siedząca tuż koło mnie, pewnie właśnie skończyła: błędny wzrok, usta rozchylone niemym pytaniem: „Gdzie ja jestem”. Pewnie wyglądałem tak samo.

Już jadąc tramwajem do domu wiedziałem, że ten seans w kinie wirtualnym w jakiś sposób zmienił moje spojrzenie na życie. Nie mogłem zapomnieć tego niewiarygodnego poczucia lekkości i miękkości. I nie mogłem z niego zrezygnować.

Kiedy otwierałem drzwi wejściowe do mojego mieszkania, zgrzyt klucza w zamku poderwał z popołudniowej drzemki mojego psa Hektora. Zdażył coś wyczuć, zanim mnie zobaczył. Nie rozdarł się jak stara szmata z radości, jak to miał w zwyczaju. Zatrzasnąłem za sobą drzwi i stanąłem przed jego zdeorientowanym nosem. Zawarczał. Jednym skokiem znalazłem się na szafie, zjeżyłem się, prychnąłem. Wydawało mu się, że prawie mnie dopadł. Ślinił się teraz, przebierając łapami po drzwiach szafy. Za godzinę się zmęczy i uśnie. Wtedy wyskoczę połączyć po dachach. Na razie miło jest tak leżeć i patrzeć na tego cymbała, jak się spala. Frajer.